

szlachetna krew

Klaustrofobia



W BEATA
WOROBIEC

Klaustrofobia

Kopalnia Złudzeń wywoływała w Tsolinie odruch wymiotny. Ilekroć myślał o tym, że znowu ma zejść pod ziemię, jego umysł zaczynał się buntować. Życie udręczonej duszy nie należało do przyjemnych. Każdego ranka cała martwa część populacji brała kilofy w dłoń i szła walić. Od świtu do zmierzchu – tak się skończyła „dobra zmiana”, którą wymyślił wielki imperator. Psia jego mać. Wspaniałomyślny Pan Światła nie dawał odpocząć swoim poddanym nawet po śmierci. Wystarczyło umrzeć po przekroczeniu piętnastego roku życia, żeby zapomnieć o błogim niebycie. Tsołin już nawet nie pamiętał, jak to jest, kiedy w nocy żaden odłamek węgla nie wpijał mu się w żebro, albo między pośladki. Wokół niego ciągle było brudno, a z natury lubił porządek. Niejednokrotnie zastanawiał się, o ile piękniejsze byłoby jego życie, gdyby urodził się jubilerem, albo chociaż zwierzęciem. Mógłby latać jak ptaszyna i niczym się nie przejmować. Co prawda z jego tuszą najbliższej było mu do krowy, a takowej w

przestworzach jeszcze nie widział, ale to nie przeszkadzało w snuciu marzeń.

Nie lubił skał. Były chropowate i nieprzyjemne. Nawet obcowanie z kamieniami szlachetnymi nie przynosiło mu radości. Swój kilof za to kochał. Wieczorami brał scyzoryk i, choć żaden był z niego artysta, to na drewnianej rękojeści wydłubywał obrazy przedstawiające jego owalną sylwetkę ponad drzewami. Marzył o przygodach, ale dopóki nie odsłużył swego w Kopalni Żłudzeń, nie mógł powiedzieć, że rzuca pracę. Nie istniała żadna alternatywa. Mamę mógł oszukać, nadzorców mógł oszukać, ale śmierci oszukać nie był w stanie – górnik, który nienawidzi swojej kopalni. Przecież to brzmi absurdalnie! Nie potrafił jednak ukryć, że to miejsce go przytłaczało. Dołowało. Niszczyło! Liczył uderzenia kilofem tylko po to, żeby nie myśleć o skalnych ścianach, które go otaczały. Niestety nie zawsze udawało mu się zachować spokój.

– Za piętnaście szósta. Jeszcze chwila i trzeba będzie wracać do grobów – odezwał się Kreun. Wyglądał na niepokieszonego faktem, który Tsołinowi dodawał sił.

Oparł się o kilof, przetarł brudną łapą swoje sumiaste wąsiska i zaczął dłubać w zębie. Kły miał niemal zwierzęce – powykrzywiane w każdą stronę świata, w całej gamie odcieni żółci i brązów. W dodatku z nieregularnymi przerwami, bo w wolnych chwilach lubił przeżuwać żwir, jakby to były cukierki. Twierdził, że jego specyficzna chrupkość relaksuje jak nic innego. Pozostałe umęczone dusze po cichu podszeptwały, że powinien zapuścić dłuższe wąsy, które zakryłyby to, co nie powinno być widoczne dla świata. Nie bez powodu każdy nieszczęśnik, który trafił do kopalni po wypadku, szczycił się zarostem, a nie uzębieniem. Cała ich grupa nie słynęła z przesadnej higieny jamy ustnej.

Paskudny widok na dobre oderwał Tsolina od liczenia uderzeń. Na ilu stanęło? Ile jeszcze zostało?

Rozejrzył się dookoła. Jego towarzysze w bólu pracowali w pocie czoła, a on poczuł, że musi się stamtąd wydostać. Spojrzył na wielki zegar, który odliczał czas do końca pracy. Została jeszcze cała godzina! Godzina! Tylko jedna! Ostatnia! Czy to w ogóle miało znaczenie, jeśli każda minuta ciągnęła się jak pół dnia? Miał

wrażenie, że uderzył co najmniej sto razy, a kiedy panicznie spojrzął na zegar, wskazówka przesunęła się zaledwie o milimetr. Uświadomił sobie, że dudnienia, które słyszał, nie wydawał jego kilof, tylko serce.

Nie. To bez sensu. Dłużej nie da rady. Ściany zdawały się zbliżać, śmiały się z niego, podszeptowały, że nigdy się nie uwolni.

Upuścił kilof i pognał w kierunku zegara. Zatrzymał się przed wejściem do opuszczonego szybu i oparł się o ścianę. Wziął kilka głębokich oddechów. Jeśli wyjdzie, nadzorca znowu dorzuci mu kilka lat do wyroku. Ile razy jeszcze zawiedzie? To było silniejsze od niego. Nie panował nad sobą. Coś z tyłu głowy podpowiadało mu, że musi czym prędzej wyjść, bo inaczej... inaczej... nie ma inaczej! Musi wyjść i koniec!

– Stary, wszystko w porządku? – Zandi chwycił go za ramię, ale Tsolin wyszarpnął się, jakby atakował go demon. Spojrzął na przyjaciela przerażonymi oczami.

– Muszę stąd wyjść. Muszę!

Zandi rozumiał, choć za życia był prostym pasterzem. Spuścił wzrok i pokiwał głową. On jeden zawsze rozumiał, choć to nie była pierwsza tego typu sytuacja. Obaj wiedzieli, że jeśli Darg zauważy nieobecność, to Tsolin dostanie za karę tyle łyków ciemnej materii, ile minut pracy opuścił. Każda z dusz krzywiła się na samą myśl o ciemnej materii. Ta substancja pochodziła bezpośrednio od Cienia. Rozrywała duszę od środka, a później w bardzo powolny i bolesny sposób składała ją na nowo. Tyle dobrego, że nie mogli go wyrzucić. Musiał pracować w kopalni, dopóki nie zwróci ziemi wszystkich kamieni szlachetnych, które wykorzystał za życia.

– Podbiję twoją kartę na koniec zmiany.

– Jesteś wielki!

Tsolin uśmiechnął się z nadzieją. Wyciągnął zza pasa identyfikator, w biegu uściśnął przyjaciela i popędził w kierunku wyjścia. W połowie drogi zatrzymał się i zauważył, że czegoś mu brakuje. Kilof! Został w jednym z szybów! Tsolin kochał swój kilof. Jakaś część jego serca chciała go odzyskać, ale był już tak blisko celu! Gdyby po niego wrócił, ktoś mógłby to zauważyć. Zbyt wielkie

ryzyko. Musiał zacisnąć zęby i gnać przed siebie. Jeszcze kilka schodów i...

– TsoLin, dobrze, że cię złapałem – zaczepił do Darg.
– Chłopaki potrzebują pomocy w zachodnim tunelu. Dokopali się do złóż szmaragdów. Będą nadgodziny, ale za to posypią się bonusy.

Na czole TsoLina pojawiły się krople potu. Już po nim. To koniec. Nie udało się. Mało tego, będzie musiał zostać dłużej, choć każda kolejna sekunda zdawała się być torturą.

– Ale...

Darg posłał podwładnemu pytające spojrzenie.

– Ale ja nie mogę! – wydusił w końcu. – Poślij tam Kreuna! Zmarła mu szósta córka i teraz wszystkie dręczą jego już i tak umęczoną duszę, chłop potrzebuje bonusów. Zawsze chętniej zostaje, bo siedzenie w grobowcu z siedmioma babami to większa męczarnia, niż wydobywanie szmaragdów. Trochę empatii, Darg!

– Kreun wydobywał złoty beryl tydzień temu i...

Tsolin czuł, jak zaczynają trząść mu się kolana. Zimny pot spływał po karku. Jego duch czuł, że jeśli zostanie w kopalni chociaż chwilę dłużej, to zemdleje. Musiał postawić wszystko na jedną kartę.

– Ale ja mam klaustrofobię! – pisnął.

– To... umm... nowość. – Darg podrapał się po głowie. Przez chwilę milczał, jakby nad czymś się zastanawiał. Czy zmarli mogą w ogóle mieć jakieś fobie?

– Jeśli tak bardzo ci zależy, to mogę posłać Kreuna – dodał w końcu.

Tsolin odetchnął i czym prędzej wybiegł na powierzchnię.

Nareszcie! Przytulny cmentarz. Ciepły wiaterek otulił jego spocone czoło. Nogi same wiedziały, gdzie mają się udać. W końcu dwa kroki od jego grobu był sklep z wieńcami, w którym pod ladą można było dostać alkohole ze wszystkich pięciu miast jubilerskich.

– Tsolin, znowu? – zapytała cycata kwiaciarka. – Jakich kłamstw tym razem naopowiadałeś Dargowi, żeby cię wypuścił przed fajrantem, ty moczymordo?

Tsolin opróżnił trzy butelki altńskiego piwa i pół flaszki torncrestańskiego bourbona. Otarł usta rękawem i wziął pod pachę jeszcze sześciopak.

– Tym razem nie skłamałem – odpowiedział i uśmiechnął się w duchu.

Klaustrofobia to wszakże lęk przed zamkniętymi przestrzeniami, a on... cóż, bał się, że po pracy stoisko kwiaciarki będzie już zamknięte.